

TREKKING

NIEBIAŃSKIE GÓRY NA KRAŃCU ŚWIATA

Tekst / DAMIAN WOJCIECHOWSKI TJ
KAROL ZALEWSKI

WYPRAWA W GÓRY KOKSZAŁ-TOO W TIEN-SZANIE

Po całym dniu spędzonym w siodle kolana tak bołą, że wydaje mi się, że przy zejściu z konia upadnę. Jedziemy płaskowyzem wznoszącym się na szczycie pasma rozdzielającego szeroką dolinę Ak-saj ('biała woda') od wąskiego kanionu jej południowego dopływu Kok-kija ('niebieska wstęga'). Płaskowyz rozciąga się na wysokości około 3500 metrów. Wokół nas faluje morze trawy, poruszane porywistym wiatrem. Mam na sobie wszystkie najcieplejsze rzeczy, ale i tak wiatr przeszywa mnie do szpiku kości. Gdzieś tam widać pomarańczowe skały o fantastycznych kształtach. Pod nami kilkusetmetrowe, strome zbocze, a przed nami rozlewisko Kok-kija. Wśród morza białych kamieni płyną dziesiątki strumieni. Po obu stronach, brzegiem rozlewiska ciągną się zielone łąki, a nad nimi porośnięte żółknącą trawą góry. Niektóre z nich zwieńczone są skałami. Z daleka widać kilka jurt. Na prawo słabo widoczne pasmo Kok-kija, oddzielające rzekę od Chin i pokryte w najwyższych partiach lodowcami. Naprzeciw horyzont zamyka ogromny grzbiet Sary-beles ('żółta

przełęcz' lub 'żółte siodło'). Góry wznoszące się ponad rzeką prezentują się majestatycznie. W tym roku lato było bardzo deszczowe, dlatego szczyty w dużej części pokryte są śniegiem. Zachodzące słońce iskrzy się na fałdach – to jeden z najpiękniejszych widoków podczas naszej wyprawy w pasmo Kokszał-too w górach Tien-szan ('niebiańskie góry') na pograniczu Chin i Kirgistanu.

KOKSZAŁ-TOO

Po raz pierwszy byłem w Kokszał-too w 2010 roku. Z grupą przyjaciół przeszliśmy wówczas kanionem rzeki Kok-kijii na brzeg jeziora Kel-suu ('wodne jezioro') i wtedy pomyślałem, że warto byłoby przyjechać tu z łódką i przepłynąć przez nie w kierunku południowym. Niewielu ludziom udało się to zrobić. Idea szalona, bo skąd wziąć łódkę w takich dzikich i odległych od cywilizacji górach? Chcieliśmy wówczas wejść na grzbiet Sary-beles, ale spadł śnieg i nie starczyło na to czasu. Kokszał-too to idealne miejsce na robienie filmu: malownicza Kok-kija, przepiękne jezioro Kel-suu i groźne, pokryte lo-





dowcami grzbiety Sary-beles, z wierzchołkami sięgającymi prawie 5000 metrów. Na dole step z jurtami, stadami koni i jaków. Okolica bezludna, to przysłowiowy koniec świata: zarówno od strony Chin, jak i Kirgistanu. Do niedawna rejon ten otoczony był zasiekami z drutu kolczastego, a powbijane co kawałek tablice informowały o zakazie wstępu dla postronnych, szczególnie dla obcokrajowców. Teraz, po sześciu latach, postanowiłem wrócić. Przed wyjazdem wiedzieliśmy jedno: tam, gdzie jedziemy, możemy liczyć tylko na siebie. Na tym obszarze nie ma żadnej łączności, służby ratunkowej, a w całym kraju jest jeden helikopter.

Celem będzie próba pierwszego przepłynięcia przez polską ekipę położonego na wysokości 3500 metrów jeziora Kel-suu, pierwsze polskie wejście na mierzący 4650 metrów wierzchołek Sary-beles i spłynięcie rzeką Kok-kija do jej połączenia z rzeką Ak-saj. Naszym atutem to, że w Kirgistanie spędziłem wcześniej osiem lat i jako brat zakonny zjechałem ten kraj wielokrotnie, jego mapę znam na pamięć, mam tam przyjaciół i współbraci i jak mało kto poznałem kirgiską logistykę. Na miejscu do

dyspozycji dostaniemy niezawodnego land cruisera, model 75, a znajomi załatwią nam przepustkę do strefy przygranicznej.

KIERUNEK: KIRGISTAN

Z Warszawy przez Pragę i Stambuł lecimy do Biszkeku. Tu mamy krótki postój, na bazarach Dordoj (największym bazarze w Azji Środkowej) i Osz robimy niezbędne zakupy: jedzenie i pontony. Pontony są mniejsze i droższe, niż się spodziewałem. Bierzemy trzy.

Następnego ranka pobudka, pakujemy rzeczy do land cruisera (przeznaczony jest dla pięciu osób, a nas jest ośmiu!) i ruszamy nad jezioro Issyk-kul. Jego nazwa oznacza „cieple jezioro”, ponieważ nigdy nie zamarza. Leży na wysokości 1650 metrów, jego głębokość dochodzi do 700 metrów, ma 200 kilometrów długości i jest drugim co do wielkości górskim jeziorem świata. Z pięknymi plażami i zjawiskowymi widokami wokół – zachwyca.

Po drodze zajeżdżamy do malowniczego kanionu Skazka ('bajka'), który przypomina parki narodowe w zachodniej części USA. W czerwonym piaskowcu woda i wiatr

wyrzeźbiły fantastyczne kształty, przypominające ni to księżycowy, ni to marsjański krajobraz. Przejeżdżając przez pustynię Ortotokej, spotykamy stado wielbłądów. Dalsza droga prowadzi serpentynami na przełęcz leżącą na południe od Naryna.

Jadąc nią następnego dnia, widzimy dolinę At-baszy ('głowa konia'), grzbiet górski o tej samej nazwie i szeroką dolinę prowadzącą w stronę Chin. Na szutrówce kamyk wystrzelił spod koła i zbił boczną szybę w samochodzie. Na szczęście nikomu nic się nie stało, a dziurę załataliśmy folią. Żeby dotrzeć do strefy przygranicznej, musimy przejechać przez dwa punkty kontrolne. Część paszportów jest pochowana w plecakach, na wierzchu mamy za to paczki papierosów i to one, podarowane żołnierzom, wystarczająco uwiarygodniają naszą tożsamość. Plecaków nie musimy rozpakowywać.

NARESZCIE KOK-KIJA

Przed sześciu laty jechałem tą samą drogą, tyle że teraz przez wielkie rozlewisko rzeki Ak-saj przejeżdżamy nowym mostem. Po starym pozostały ledwie szczątki, resztkę pew-



nej wiosny porwała wielka woda, która po wiosennych roztopach zalewa całą dolinę. Do doliny rzeki Kok-kija docieramy późnym wieczorem. Na skarpie rozbijamy namioty. Jesteśmy w „Kultcentrze Surasz-tasz” ('kamień modlitwy'). Kiedyś był tutaj ośrodek zdrowia, administracja kolchozu i biblioteka, teraz zostały po nich ledwie fundamenty, przybyło za to jurt. Panuje tu stosunkowo łagodny klimat, tak że część pastery spędza w tej dolinie ze swoimi stadami zimą, co w Kirgistanie jest wyjątkowe. Trawy rosną tu aż po horyzont, w ich morzu od czasu do czasu napotkać można *dżajło*, czyli po prostu letnisko – są to pastwiska, gdzie Kirgizi stawiają swoje jurty i od wiosny do jesieni pasą bydło. Piotr wchodzi na okoliczne szczyty i zalicza wspaniałe loty na gładzie, wzbudzając wśród Kirgizów wielką sensację.

Żeby wyruszyć w góry, do transportu całego sprzętu (liny, szpej górsko-wspinaczkowy, pontony, kamery itd.) potrzebujemy koni. Lokalne konie są niezwykle wytrzymałe, żywią się wyłącznie trawą,



o owsie nawet nie słyszały. Mogą chodzić nie tylko po skałach, ale nawet po lodowcach. Cały rok żyją na wolnym powietrzu, zimą wygrzebują trawę spod śniegu, a latem tabunami biegają po górskim stepie.

BAJKOWE JEZIORO KEL-SUU

O poranku ruszamy w stronę jeziora Kel-suu. Nasz dobytek od tej pory powożają konie, auto zostawiamy u Kirgizów. Kilka godzin później docieramy na miejsce. Po drodze musieliśmy pokonać rzekę, wchodząc do niej prawie po pas, ale przy okazji przećwiczyliśmy technikę przeprawy. Nie

mamy czasu na odpoczynek na brzegu Kel-suu, musimy szybko rozbijać namioty, bo nastąpiło typowe dla Tien-szanu popołudniowe załamanie pogody, które przyniosło grad i silny wiatr. Zmiana pogody studzi zapał tych z nas, którzy od razu, tego samego dnia chcieli przepłynąć na drugą stronę jeziora i wyruszyć w góry.

Następnego dnia płyniemy przez jezioro Kel-suu. Widok wychodzących wprost z wody pionowych, kilkusetmetrowych skalnych ścian zapiera nam dech w piersiach. Pośrodku jeziora, w seledynowej toni tkwią samotne skały. Docieramy do miejsca, w którym mamy się rozdzielić na grupę „wodną” i „górską”. Jestem w tej drugiej. Wypakowujemy nasze rzeczy i chłopaki odpływają. Za kilka dni mamy znów się zobaczyć. Pogoda się zmieniła i z niepokojem obserwuję, jak Tomasz i Jacek, wiosłując pod wiatr, ciągną za sobą dwa pontony przywiązane do trzeciego.

Opowiadali potem, że wiatr był coraz gwałtowniejszy, fale coraz większe.



trek osiąga półkę skalną, gdzie dołącza do niego Karol. Okazuje się, że na ogromnym głazie Rosjanie zostawili w 2006 roku stanowisko asekuracyjne, które teraz wykorzystujemy. Zastanawiam się, dlaczego alpinisci, idąc do góry, nie zabrali swojego sprzętu? Ta zagadka wyjaśni się później.

Chłopaki zakładają drugą linę i zjeżdżają. Jest godzina 13.00, według mnie zbyt późno na atakowanie szczytu – zaraz może pojawić się wiatr, mgła i zacząć padać śnieg. Rosjanie wchodzili pięć godzin. Na przełęczu byłibyśmy wieczorem, trzeba jeszcze dotrzeć na wierzchołek. Nie wiemy dokładnie, jak wygląda przełęcz i zejście na drugą stronę, a byłibyśmy tam nocą. Kończymy nasze działania na dzień dzisiejszy. Pozostali są niezadowoleni z mojej decyzji – uważają, że trzeba od razu iść na przełęcz. Jak na złość po południu są chmury, ale nie pada. Wygląda na to, że mogliśmy zaryzykować.

O poranku nasze namioty uginają się pod ciężarem świeżego śniegu. Ogromna chmura zasłania widok. Dzień jest dla nas stracony. Po południu wychodzi słońce i roztapia śnieg, chwilę później nie ma po nim śladu. Niestety, jest już za późno na wspinaczkę. Leniuchujemy, a nad nami krą-

żą sępy. Czyżby wiedziały coś, o czym my nie wiemy? Wieczorem znowu pada deszcz ze śniegiem, na szczęście mniejszy niż poprzedniego dnia. Noc, jak to bywa na takich wysokościach, bardziej przypomina letarg niż sen, czuję też jeszcze trochę chorobę górską.

WEJŚCIE NA SARY-BELES

Kolejny dzień rozpoczyna się lepszą pogodą niż poprzedni. Nie jest idealnie, ale gdybyśmy chcieli czekać na wymarzone warunki, moglibyśmy bardzo długo nie wychodzić z namiotów, a zapasy jedzenia i gazu nie są nieograniczone. Postanawiamy zaryzykować i wyruszyć. Pogoda jest niepewna, ale chmury wciąż wiszą wysoko. Piotr obawia się, że skała będzie oblodzona, a liny mokre, może nawet porwane. Na szczęście wszystko jest suche. Wchodzą Piotrek i Szczepan, wciągają plecaki. Później wspinam się ja i Karol. Na ścianie pozostają kawałki niebieskiej karimaty Karola i moja krew. Przez chwilę pada śnieg i martwimy się, że właśnie zaczyna się popołudniowe załamanie pogody. Na szczęście po chwili opad ustaje. Pogoda nadal nie jest najlepsza, ale stabilna. W końcu docieramy na wierzchołek tej monumentalnej ściany.

Nie ma czasu na dłuższy odpoczynek,

idziemy dalej. Wchodzimy na język śniegu. Zakładamy raki, idzie się dobrze. Na prawo odbija mniejsza rysa, której z dołu nie było dobrze widać. Nie sprawia trudności. Wychodzimy w szeroką kotlinę pokrytą piargami. Czuję się bardzo osłabiony – to chyba efekt mojego zbyt ascetycznego sposobu odżywiania. Nogi mam jak z waty. Zatrzymuję się co kilka kroków. Docieramy na przełęcz na wysokości około 4400 metrów. Z tego miejsca będziemy atakować wierzchołek Sary-beles. Ze względu na zmęczenie, aby nie hamować pozostałych, postanawiam zostać na przełęczu.

Z relacji Karola wiem, co stało się dalej. Opowiadał: „Ruszyliśmy we trzech: Piotrek, Szczepan i ja. Zaczynamy drogę na szczyt. Po chwili docieramy do śniegu. Zakładamy raki, bierzemy czekany do ręki i wiążemy się liną. W pewnym momencie słyszymy krzyk Piotrka, który idzie pierwszy: LAWINA! Kierujemy wzrok do góry i faktycznie, pędzi na nas masa śniegu. Szczepan znajdował się wyżej ode mnie i schował się za skałę. Ja nie miałem się za czym schować, więc z całych sił wbiłem czekan i raki w śnieg (każdy z nas to zrobił) i położyłem się na śniegu, przyjmując lawinę na kask.

Na szczęście nie okazała się zbyt wielka. Piętnastocentymetrowa warstwa świeżego śniegu niezwiązana jeszcze ze starym, zmarzniętym, najzwyczajniej oderwała się i zsunęła. Wychodzimy na grzbiet i podążamy w stronę wierzchołka. Grzbiet nie jest stromy, to duża, płaska przestrzeń z niewielkim przewyższeniem, więc ciężko znaleźć najwyższe miejsce. Wiemy, w którą stronę się kierować. Leżący śnieg zlewa się z chmurami na horyzoncie, idziemy na ślepo w stronę skraju grzbietu.

W miejscu, w którym powinien znajdować się wierzchołek, urządzenie wskazuje nam wysokość 4665 metrów. Biorąc pod uwagę, że według mapy stoimy we właściwym punkcie, a urządzenie może się pomylić o plus minus kilka metrów, decydujemy, że dotarliśmy na mierzący 4650 metrów wierzchołek Sary-beles. Radość jest ogromna, jesteśmy tu jako pierwsi ludzie. Chociaż tego dnia nie tylko my tam dotarliśmy. Widzimy w miarę świeże ślady śnieżnej pantery – szła z tej samej strony co my, najprawdopodobniej ostatniej nocy”. Dodam, że śnieżna pantera, czyli po kirgiskiu *bars*, to niezwykle tajemnicze zwierzę – bardzo rzadko można je zobaczyć. Trzeci raz widzę jej ślady: szerokie, duże łapy, dzięki którym zgrabnie porusza się nawet po głębokim śniegu. Pantera ma ogromny teren łowiecki, obejmujący setki kilometrów kwadratowych. Latem przemierza najwyższe partie gór, idąc śladem kozic lub szukając nowych miejsc, gdzie żyją świstaki.

Wróćmy do opowieści Karola: „Chmura, która jakby czekała, aż dojdziemy do szczytu, nagle przyspieszyła, docierając do nas i przynosząc bardzo silny wiatr i zamieć śnieżną. Robimy kilka zdjęć i zbiegamy po własnych śladach. W niecałą godzinę docieramy na przełęcz, gdzie czeka na nas Damian. W międzyczasie odnalazł on wiadomość, jaką zostawiły jedyne ekipy, które kiedykolwiek tu dotarły: dwie rosyjskie, w 2006 i 2007 roku, wywodzące się z tego samego moskiewskiego klubu wysokogórskiego. Napisali w tej wiadomości, kto był członkiem zespołu, skąd i dokąd szli. Z ich relacji wynika, że nikt spośród uczestników tych wypraw nie poszedł na wierzchołek, na którym niedawno staliśmy. Potwierdza się, że jesteśmy pierwszymi zdobywcami mierzącego 4650 metrów wierzchołka Sary-beles”.

Rzeczywiście, po powrocie do Polski kontaktuję się z Rosjanami, którzy potwierdzają, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy postawili swoją stopę na tym szczycie. Wyjaśnia się też, dlaczego zostawili stanowisko asekuracyjne: byli tu po raz drugi w 2007 roku i wtedy szli w przeciwnym kierunku – zjeżdżali ze ściany, więc nie mogli zabrać ze sobą liny i haków ze stanowiska. Nowo zdobytą górę postanawiamy nazwać Szczytem Niezgody (Пик Раздора), ze względu na wcześniejszą kłótnię między nami.

Teraz musimy zejść z przełęczu i przejść lodowiec. Zejście jest strome. Pod puchem leży zmrożony śnieg. Trzeba być ostrożnym, aby się nie ześliznąć i nie zjechać. Przypominam sobie, że rok temu w podobnej sytuacji, podczas wejścia na najwyższy szczyt Apeninów – Corno Grande, zginął w żlebie mój przyjaciel z Południowego Tyrolu, jezuita Severin Leitner. Szedłem tym żlebem niedługo przed nim. Teraz zmęczony popełniam błąd: spuszczałem mój plecak po bardzo stromym zboczu. Zakładam, że zjedzie „białym” żlebem, tymczasem on zmienia kierunek i ze skał wylatuje w powietrze. Znajduję go później, na szczęście całego, kilkaset metrów niżej. Sam schodzę dzięki temu o wiele szybciej niż pozostali, którzy, obciążeni plecakami, muszą poruszać się ostrożnie.

Lodowiec jest płaski i udaje się go przejść jeszcze przy dziennym

światle. Po kilku godzinach jesteśmy w dolinie. Znajdujemy odpowiednie miejsce na rozbić namiotów i nad samym potokiem przy świetle latarek rozkładamy biwak. Bardzo zmęczeni i głodni gotujemy jedzenie, przyglądając się niebu z niesamowitą ilością gwiazd: naprzeciwko wejścia do naszego namiotu „zaparkował” Wielki Wóz.

Kolejnego dnia wędrujemy w dół, przez porośniętą gęstą trawą, całkowicie bezludną dolinę. Po obu stronach strzegą jej wspaniałe skały, może kiedyś będzie to raj dla wspinaczy, póki co licznie zamieszkują je stada świstaków. Rozmowami spłoszyliśmy tabun koni, tylko ogier prowadzący stado zatrzymuje się dłużej, by przypatrzeć się intruzom. Bez plecaka wracam do bazy, gdzie zostawiliśmy auto. Częściowo zarosnięta droga prowadzi po byłych radzieckich zasiekach, wciąż gdzieś w ziemi tkwią kawałki drutu kolczastego. Nie chcę ryzykować przebicia opon samochodu i po kilku godzinach zaprzyjaźnieni Kirgizi konno przyjeżdżają po chłopaków. Po zapakowaniu plecaków na wierzchołku cała grupa wraca do znanej nam doliny rzeki Kok-kija. Po drodze czabanom udaje się odciąć kawałek liny Piotra, co zrozpaczony właściciel odkrywa dopiero w Polsce.

Nad rzeką spotykamy się z naszą „wodną sekcją”, która jako pierwsza polska ekipa przepłynęła całe dwunastokilometrowe jezioro, penetrując po drodze tamtejsze jaskinie. Wejście do wielu z nich znajduje się wprost nad lustrem wody. Na południowym krańcu jeziora wspinali się też na zbocza gór, dzięki czemu mogli podziwiać bajeczne panoramy Kel-suu i Sary-beles. Mimo wiatru, fal i deszczu szczęśliwie wrócili na północny brzeg.

Teraz trzeba przywieźć bagaże i pontony z powrotem do bazy. Aby zaoszczędzić czas i pieniądze, postanawiam pojechać nad jezioro land cruiserem. To najbardziej karłowata jazda w moim życiu: błoto, w którym można utonąć, pochyle stoki, z których można przekoziółkować na bok, ostre zjaz-



źródło: Google Maps

dy, potoki i ogromne kamienie. Po wyprawie samochód musiał trafić do remontu. Znów jesteśmy wszyscy razem.

Wielka radość – nie tyle z naszych osiągnięć, co z tego, że spotkaliśmy się cali i zdrowi. Świątujemy razem z Kirgizami, którzy z tej okazji dzielą się z nami arbuzem.

POWRÓT DO CYWILIZACJI

Musimy wracać do cywilizacji. Po drodze mijamy stada koni i jaków. Jaki żyją w górach cały rok i nie schodzą poniżej trzech tysięcy metrów. Są agresywne, dlatego wielu z nich pasterze spilowują rogi. Wokół drogi

biegają świstaki, które z sobie tylko znanych powodów właśnie tutaj wykopały norki. Dojeżdżamy do szerokiej doliny Ak-saj, ale nie wracamy już przez przełęcz przecinającą pasmo At-baszy, lecz skręcamy w lewo. Okolica staje się coraz bardziej bezludna, jurty coraz rzadsze, a droga coraz słabiej uczęszczana, by w końcu w ogóle zniknąć wśród niekończących się odnóg rzeki Ak-saj. Samochód raz za razem wyrzuca spod kół fontanny wody.

Z daleka widzimy kolejną strażnicę kirgiskich pograniczników. Przygotowujemy dokumenty do kontroli i podjeżdżamy do budki strażniczej, ale, o dziwo, nikt do nas nie wychodzi. Zaglądamy do środka. Pusto. Pusto jest też na terenie całej jednostki wojskowej. Gdzieś stoją żołnierskie buty, gdzie indziej na stole szklanki, a w pralce spodnie. W zeszycie, w którym żołnierze powinni zapisywać wszystkich przejeżdżających, ostatni wpis pochodzi z lutego, później miejscowi pasterze zaczęli notować informacje o swoich rodzinach i stadach. Sytuacja jak z filmu Hitchcocka – trudno to wszystko wytłumaczyć. Dezercja? Jakaś tragedia? Kawałek dalej, na wzgórzu widać umocnienia i bunkry z czasów radzieckich, które miały bronić ZSRR przed Chińczykami.

Jedziemy wzdłuż granicy chińsko-kirgiskiej, strzeżonej przez potrójne ogrodzenie z drutu kolczastego i rozmieszczone co jakiś czas wieże, na których stoją manekiny strażników. Po obu stronach zasieków biegają dwa tabuny koni – nie mogą się ze sobą połączyć. Zaczyna padać śnieg i po chwili cała okolica jest biała. Dojeżdżamy do Torugart – przełęcz w górach Tien-szan, na granicy między prowincją Naryn w Kirgistanie a Regionem Autonomicznym Xin-jiang w Chinach. To jedno z dwóch przejść granicznych między Kirgistanem a Chinami. Opustoszałe. Spędzamy jeszcze jeden dzień nad Issyk-kulem, aby domyć dwutygodniowy brud w miejscowych gorących źródłach. Na lotnisku w Biszkeku nasza wyprawa dobiega końca. ■